

K S I A Ż K I

Cigi de Montbazon

Kim jest lub była (a może i we, że jej wcale nie było) ta Cigi de Montbazon? Nieszczęsna córka Hallgerdy, drewniana baba, cudowna istota towarzysząca radośniejszej doli i mniej radośniejszej, bo nie w pełni uświa domłonej niedoli małego Franciszka, syna spokojnego szewca, któremu dane było w czas wojny witać w swych progach nieproszonych gości, wystanników kanclerza, a którym to ów szewc z synem Franciszkiem sprawiał ostatnią posługę przed rozpoczęciem ostatniej drogi, której początek znajdował się za stodołą, w cieniu tui lub innego drzewa — nie znoszącego nieproszonych gości szewca, który poza tym był człowiekiem nad wyraz spokojnym, dobrym sąsiadem, ojcem i mężem.

„Na imię mam Franciszek. Od dawna liczę sobie około trzynastu, czterdziestu lat i nigdy nie chciałem mieć więcej. Tak już zostało do końca. Panna Cigi de Montbazon od dobrych kilkuset lat była dziewiętnastką i też dobrze. Ktoś się uparł, że po każdym obrocie Ziemi dookoła Słońca należy dopisać rok do życiorysu, bo jego ślady widać na zewnątrz, chociażby w zmarszczkach na twarzy. Bezmyślna tradycja nie biorąc pod uwagę świadomości. W ludziach winien się liczyć wyłącznie ich czas wewnętrzny”.

A więc już mniej więcej wiemy, kim dla Franciszka była Cigi, a raczej czym — bowiem kim była właściwie jako istota piękna, żywa i bardzo mądra, znająca Platona, dowiemy się z opowieści o trudnym wojennym dzieciństwie Franciszka, podkochującego się w towarzyszące igraszki na strychu domu, w ogrodzie, na gałęziach ogrodowych drzew, wreszcie w stawie w czasie wspólnych kąpiei.

Cigi przybyła do Franciszkowego ogrodu nagle. Jak powie Franciszek w swej intrygującej relacji, Cigi ukryta została w dworcu sąsiada przed żołnierzami Pasiewiczem i ocknęła się po latach właśnie „teraz”, w czasie pożaru we wnętrzu, kiedy w dworek trafiła bomba „od kanclerza”. „Dworek płonął a Cigi przeniosła się do naszego domu”. Spotkanie nastąpiło wówczas, kiedy Franciszek zainteresował się osobliwą zawartością „nawozu” jaki „sznur samochodów wojskowych” rzucił do dołu po spalonej piwnicy tuż obok jego domu.

„Na jej żądanie łupałem stekierą zmokłą uprzednio i złodowaciałą masę, by wydobyć szczątki tej czy innej książki, którą Cigi potem studiowała na strychu do mu. Ani jej, ani mnie, zniewolonym do czytania przez jej wieczny przykład, nie przeszkadzało, że wolumin był tylko połową całości...”

Doprawdy, sporego zapasu silnej czytelniczkiej woli, czy jak kto uważa — czytelniczego samozaparcia wy-

maga wczytanie się w nie pierwsze karty książki opatrzonej tyle znamienym co nie nie znaczącym oryginalnym tytułem „Cigi de Montbazon”. Cigi, której życiorys Anatol Ulman (a może właściwie syn szewca, od którego autor przejął, spisał, wysłuchał tę dzieciną opowieść), wyprowadza od Marii Bretońskiej i Karola d'Hocquincourt. A może — jak by napisał Anatol Ulman — Cigi nie wywodzi się od Karola d'Hocquincourt tylko Aleksandra Macedońskiego, romansującego z Cyganką nazwiskiem Stamburiza. Ale kto to wie, może dziecię z tego nieprawego łoża miało na imię Gigiola?

Tak więc, po wciągnięciu się siłą woli w interesującą lekturę perypetií młodego chłopca, któremu wojenny los kazał uczestniczyć w ukatrupianiu przez ojca kolejnych odwiedzających dom szewca żołnierzy pana kanclerza, dochodzimy do wniosku, że dzieciństwo miało to dziecię rzeczywiste nieciekawie. W przerwach między kopaniem kolejnych grobów zaszywało się na strychu, by w towarzystwie żywej-nieżywej drewnianej, pięknościelistej Cigi rekonstruować bogatą wyobraźnią nadpalone dzieła — także łacińskie rozprawy Platona.

I znowu odezwie się w chłopcu nadmierna wrażliwość powodująca, że zacznie uciekać przed goniącą go Cigi „wreszcie” w niby-kobiecej zazdrości ukazującej mu swoje jakże powabne, choć o wiele mniejsze w każdym calu wążki. Cigi — natchnienie, Cigi — wyzwolenie wszelakiej wrażliwości, Cigi — zwierciadło młodzieńczego dojrzewania. I basta. Potem nadszedł aż trzech żołnierzy kanclerza, jednak unicestwionych przez szewca i syna nie bez tajemnej pomocy Cigi i potem: „Mama spakowała pierzynę i jeszcze coś, do czego tata dorzucił szewskie narzędzia i położył wszystko na wózku z drewnianymi osiami, zrobionym w te sierpniowe dni. Z tą lemm spojrzeliśmy na wiele jeszcze pustych miejsc pod tujami i wyszliśmy z ogrodu”.

Tak więc ogród pozostał dla Franciszka niezbyt miłym wspomnieniem dzieciństwa, alści wielu się tu nauczył.

A jaki morał ze zgrabnie skomponowanej opowieści, z licznymi fabularnymi nawrotami i przeplotami, z bogactwem wyczytanych przez chłopca w popiele cytatów, wreszcie z niby-byle jaką fantazją?

Sądzę, że morału nie ma, mogą być natomiast bardzo osobiste wnioski czytelnika.

JERZY DĄBROWA

Anatol Ulman — Cigi de Montbazon — Iskry — Warszawa 1979